ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

No 43

WARSZAWA
DNIA 26 PAŹDZIERNIKA 1913 R.

KILKA SŁÓW O TEATRZE.



Dzisiejsza literatura dramatyczna wyprzedziła sztukę teatralną. Losy teatru spoczywały i spoczywają dotąd w rękach tak zwanych „dyrektorów“ lub „kierowników“, którzy duchowo nic nie mają wspólnego z teatrem.

Teatr stał się instytucją, u której podstaw tkwi niezmienny i jednostajny szemat. Do owego szematu „kierownik“ lub „reżyser“ skwapliwie nałamuje wszelki dramat, który przypadkiem przedostanie się na despotycznie i uparcie zasklepioną w urojonych zasadach scenę.

W ostatnich wszakże czasach dzięki powstaniu na Zachodzie i w Rosji kilku twórczych teatrów z coraz większą mocą narzuca się i z coraz większą oczywistością wzrasta potrzeba nowej sceny.

Słowo „nowy“ ma w danym razie pojęcie względne, gdyż częstokroć oznacza powrót do dawnych tradycji teatru greckiego lub wschodniego.

Z pewnością publiczność i recenzent teatralny uważają w swej prostocie, czy też niewiedzy, iż *prawdziwy*, *doskonały* teatr wyglądał zawsze tak, jak wygląda teatr współczesny, który złudzenie zastąpił prawdopodobieństwem. Pomijając tak dekoracyjne, jak sytuacyjne fałsze i niedobory teatru realistycznego, zwracamy tu jeno uwagę na tę okoliczność, iż wspomniany teatr jest zjawiskiem niedawnem, wytworem dramatu mieszczańskiego, płodem zmalałej wyobraźni, która swój szczupły zakres i swoją kłopotliwą codzienność uważa za jedyną prawdę i rzeczywistość.

Teatr był zawsze miejscem dziwów i cudów, przybytkiem zdarzeń rzadkich i niespodzianych, — światem odrębnym i niepodobnym do rzeczywistego.

Świat ów posiadał swe własne a osobliwe prawa i przywileje, swe odmienne przyrodzenie, swoją ludność szczególną, swoje pałace, rzeki, lasy i łąki, zgoła niepodobne do rzeczywistych pierwowzorów.

Dzisiaj ów świat, a raczej zaświat wraz z całem swojem przyrodzeniem pierzchnął, pozostawiając jeno po sobie próżnię, którą nazywamy sceną, a którą zapełniamy zwykłemi drzewami, najzupełniejszymi meblami i najrzadszą treścią codziennego życia, zapominając o tem, iż ową treść i owe meble możemy oglądać we własnych mieszkaniach i nie postrzegając nawet, iż owe drzewa, które się nam wydają prawdziwemi drzewami, — nie tylko nie są podobne do prawdziwych, lecz są daleko brzydsze od nich i rażąco bezkształtne.

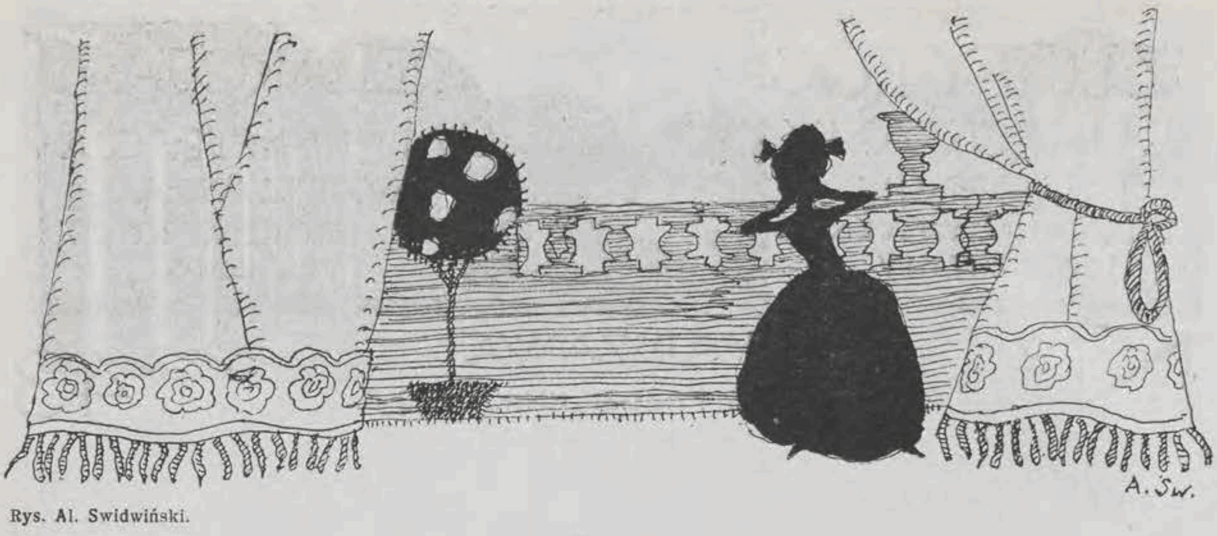
Myśl stworzenia nowego teatru narzuciły utwory dramatyczne doby ostatniej. Treść tych utworów nic może się pomieścić w banalnych ramach współczesnego teatru. Ujęte w te ramy marnieją, nikną, kurczą się, jak seraf w kleci. Trzeba im inną dać gościnę, trzeba dla nich inne zgotować przyjęcie.

Poszukiwacze nowych zasad sztuki teatralnej zdążają, zda się, ku temu, aby ująć scenę w nową i jednotliwą zasadę. Każdy z nich pragnie ze swego pomysłu uczynić kategorję powszechną.

Taka jedność zasady możliwa jest w tych okresach, które ogarniają ludzkość jedną ideą, jednym stylem, jednem marzeniem.

Okres, który obecnie przebywamy, odznacza się liczbą mnogą zasad, stylów, idei i marzeń.

Stąd reżyser dzisiejszy winnien każdy dramat innym poprzeć na scenie pomysłem. Wy-



Rys. Al. Swidwiński.

stawienie każdej nowej sztuki winno być nowym aktem twórczym reżysera.

Teatr współczesny jest teatrem bez pomysłów. Każdy dramat wkracza w obręb tej samej sceny z tą jeno różnicą, iż zmienia się *temat*, nie zaś pomysł dekoracji. Gra aktorów jest zawsze jednaka. Ruchy — te same. Sytuacje nie podlegają żadnym odmianom. I w nich, to znaczy w sytuacjach, ruchach oraz w grze samej zmienia się tylko temat. Chodzimy do teatru jeno w tym dość dziwacznym celu, aby oglądać nowy *temat*.

Górowanie tematu na sztuką uwidocznia się nawet w recenzjach teatralnych. I one różnią się tytko tematem, zawierają bowiem, jako główny swój balast, *streszczenie danego utworu* oraz na przydatek kilka banalnych uwag, kilka pochwał tudzież—dwie, trzy nagany. Oto wszystko. Czy publiczność czyta owe *streszczenia*? Niestety — czyta, gdyż interesuje ją tylko — temat. Wszystko jej jedno, czy czyta *streszczenie* pana X czy pana Y, — gdyż każde z tych streszczeń ma mniej więcej jednaką wartość.

Godny — doprawdy podziwu jest ów zapał karykaturalny, z którym recenzenci nasi piszą wspomniane streszczenia w tem serdecznem przekonaniu, iż za pomocą tych streszczeń stróżują i przodują sztuce teatralnej. Godne są podziwu ich uwagi, spostrzeżenia, zarzuty, domysły i inne tym podobne wtręty, którym na szczęście poświęcają jeno podrzędne i szczupłe miejsce pod streszczeniami. Piszą zazwyczaj: *„Pan X. wykonał swą rolę z należytem zrozumieniem"*, albo: *„Pan Y stał na poziomie swego zadania"*, albo: *„Pan Z pojął swą rolę zbyt realistycznie" i t. d.*

Górowanie tematu nad wykonaniem przesłania zgoła rzeczywiste cele teatru. Wprawdzie mówi się tu i owdzie, iż teatr winien podledz gruntownym zmianom. Atoli każda sztuka, wystawiona *bogato*, najzupełniej zaspakaja sławet-



Aleksander Świdwiński. Tragedja.



Rys. Al. Świdwinski.

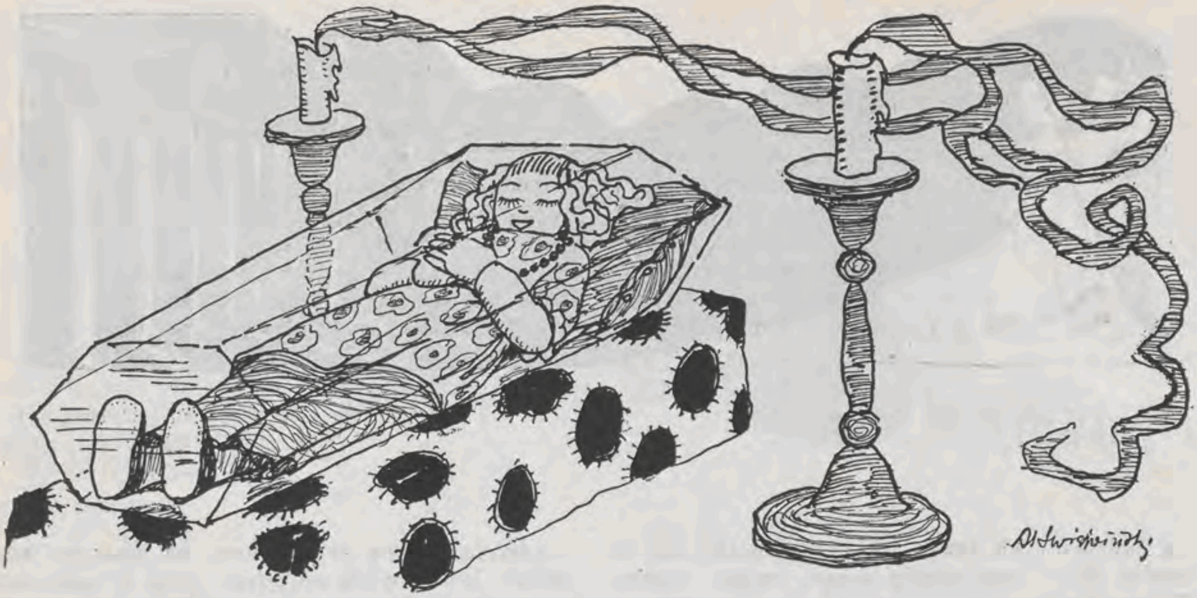
ną żądzę owych zmian. Słowacki dotąd nie doczekał się u nas *swojej sceny, swego teatru*. Włoczono go do ogólnej obory, do przytułku dla wszystkich, gdzie mają postój wszelkie *tematy* bez różnicy treści artystycznej. W tym przytułku wielki poeta nie zdobył żadnego *poklasku*. Słuszna iż wydał się nudny i *nie na miejscu*. Powiedzmy wprost: niema jednego, hurtownego teatru dla wszystkich sztuk, — każda wymaga innej sceny — innej gry — innego rodzaju dekoracji.

Długoletnie doświadczenie, niestowarzyszone z talentem, staje się jeno łożem prokrustrowem, na którem „kierownik“ teatralny obcina częstokroć głowę utworom, przekraczającym zakres jego wiedzy i wyczucia. Ileż to utworów *z obciętą głową* wystawiono na naszych scenach! Ilość owych *obciętych głów* z pewnością przerosła liczbę tych, które dotąd jeszcze żywcem i nie bez zadowolenia trwają na karkach doświadczonych kierowników!

Bądźmy jednak cierpliwi i dobrej myśli. Wprawdzie kierownicy teatralni stanowią jeszcze dość groźną armią ściśle zrzeszonych wrogów teatru, który swem nieuctwem popiera zgiełkliwy tłum recenzentów, lecz poza teatrem, wśród publiczności, wśród artystów, wśród talentów coraz się wzmaga liczebnie i duchowo widoczna już dzisiaj garstka ludzi, których zaduma o teatrze nie przeminie bez echa.

Bolesław Leśmian.





POGRZEB LALKI.

Umarła lalka. Umarła napozór zwykła porcelanowa lalka, którą można było rozmaicie przybierać. Zabawką przecież była w istocie, a jednak żyła... Wiodła krótki, stupostaciowy żywot, upływały jej ciche dni markizy w poważnem już na świat spozieraniu, lub przedzierzgała się w słodką dziewczynkę. W parku miejskim królowała małym zabawkom i naprawdę, często nie można było jej od zabawki odzabawki odróżnić. Zdzisław Kleszczyński, który lalce swej wspaniały pogrzeb wyprawił, napisał o tym dziwnym fakcie dwoistości zabawek — filigranowy wiersz:

Tak. Zabawki. Idą same właśnie.
Niech nie myśli kto, że nie są żywe...
Tak, jak ludzie są smutne — szczęśliwe —

Przez białe kartki swej książki, przez stronice wysypane kwieciem słów, poszedł Kleszczyński na pogrzeb lalki. Cóż z tego, że całą jej treścią była porcelana! Czyż nie warta była miłości? Czy nie są, jak ona, marzenie ludzkie— czy nie są mistyczne cele człowieka, jak pięknie przystrojone lalki, jak namacalnie rzeczy martwe, a jednak żyjące. Jeżeli taki daleki ognik, pociągający ludzką tęsknotę — zgaśnie — jeśli lalka, ucieleśniająca sny, wymknie się z rąk i stłucze — to nadchodzi smutek stokroć większy, niż, gdyby umarł ktoś sercu tak blizki, jak siostra lub kochanka. Tym smutkiem przepojone są poezje Kleszczyńskiego, niby szepty modlitewne w dzień żałoby. Czytający te wiersze powinni wyobrazić sobie plastycznie cały obraz, którego obraz jest symbolem. Ujrzą rzecz, godną widzenia.

Po żwirze parkowej alei toczy się miniaturowy karawan ze szklaną trumienką, zaprzężony w cztery blaszane konie. A w szklanej trumience leży w aueroli rozsypanych włosów, lalka, która umarła, lalka, której oczy się już nie otworzą. Czarno ubrany pan idzie tuż za karawanem. Pan ów mógłby jedną stopą zmiażdżyć cały kondukt żałobny, pan wygląda jako wielkolud na pogrzebie liliputki. Łzami zaszły oczy pana, boleść niezmierna maluje się na jego twarzy. Bo lalka—to przecież tylko symbol. W istocie zaś smutny smutny pan idzie za pogrzebem swych ideałów. Coś z kruchości lalki miały w sobie te ideały. Przynajmniej za takie uważał je pan, idący za pogrzebem.

Było dziwne, bardzo dziwne, to życie lalki — o wielu kolorach, o całej gamie odcieni. Chociażby te jej beztroskie dni:

Markiza ma szesnaście lat,
Całe szesnaście lat!
Poważnie patrzy już na świat,
na ten przecudny świat.

Dziwna markiza. Zakochała się w księżycu, zupełnie tak samo, jak marzenia smutnego pana. A potem „przyszedł sen wiosenny — namiętność straszna, miłość sroga! Markiza pokochała senny, w marmurze kuty posąg boga". I stało się to powoli, niespostrzeżenie, iż markiza zstąpiła z księżycowej mgławicy, odrzuciła eteryczne przesłony, w które czystość swą spowinęła — i w dreszczu miłosnym przylgnęła do posągu młodzieńca — boga śpiewów — zadumanego u fontanny.

Coraz bardziej miłość markizy stawała się cielesna, głośna, jeszcze świeża, wiosenna, a już rozsypana na miłostek drobne ułamki. „O miłostkach markizy szepcą zcicha, dwuznacznie uśmiechnięte, piękne damy; nuci piosnki psotne modny bard... O miłostkach markizy szepcą zcicha: Ach! kaprys dziecka tego nie zna tamy! Burzy spokój serc jak domki z kart".

Aż pobiegła miłość w pląs po ziemi, aż stanęła w płomieniu pożądania. Markiza zgubiła oddawna talizman wzniosłej, niedostępnej ludzkim pochuciom — cnoty. „Gdzieś z altany płynie śmiech, śmiech zalotny, srebrzysty, kobiecy czarująco uśmiecha się grzech... Lecz czyż miłość grzechem jest? czy grzechem? Z głębi parku płyną szmery ech... płonie motyl w ogniu zdradnej świecy... Pani bawi się. Czy serjo? Ech! — któż uwierzy? Lecz czyż grzechem giest? czy grzechem?“

Smutny pan uśmiecha się gorzko. Niestety, giest był treścią markizy, słodkiej, pustej markizy. O giest walczyły jego młodzieńcze tęsknoty... Ale przyszła pora beznadziejnej melancholji i z nią sumienie duszy, męskie pożądanie siły, prawdy. A markiza?.. Jak liść zczezła, jak zeschły liść jesienny. „Mgły się wloką. Markiza w zadumie idzie w puste, umarłe aleje, jakieś dawne przypomina dzieje, słyszy skargi jakieś w parku szumne. Kędy posąg boga na cokole, zwalnia kroku markiza, przystaje — oczy we łzach ma — i cień na czole. Lat szesnaście... cudny sen... poznaje...

W owej chwili umarła właśnie markiza... Lalką była. Dziewczynką z porcelany. Kochała małe dzieci i zabawki. Na jej pogrzebie smutny pan jął snuć marzenia królewskie. W dzwon siły rozkołysało mu się serce. Albowiem lalka, która umarła, w istocie była tylko pozorem. Stanowiła kiedyś duszę smutnego pana, a później przedzierzgnęła się w coś zupełnie innego i to właśnie było jej śmiercią.

Jakób Appenszlak.

DENIS DIDEROT.

(W dwuchsetną rocznicę urodzin).

Całe ośmnaste stulecie streszcza się w sardonicznym uśmiechu Voltaire'a, czułostkowej megalomanji Rousseau, wreszcie we wszechstronnej erudycji twórców *Encyklopedji*, tej wieży Babel nauk, sztuki, literatury, filozofji i postępów techniki, dzieła, które było niejako pieczęcią, zamykającą wiek Oświecenia. Encyklopedja, przy której pracowały najświatlejsze umysły owego czasu, była właściwie tworem jednego człowieka: Diderota. On to powziął pierwszy inicjatywę tego niesłychanego jak na owe czasy przedsięwzięcia i sam jeden doprowadził je do końca, gdyż Dalembert, przerażony rozmiarami dzieła, cofnął się po ogłoszeniu drukiem dwuch pierwszych tomów.

Myliłby się jednak srodze, ktoby chciał z roli, jaką odegrał Diderot w dziejach Encyklopedji, sądzić człowieka. Postać to nader interesująca, ruchliwa i niejednolita, a dla ośmnastego wieku wysoce reprezentacyjna.

Denis Diderot urodził się dn. 5 października 1713 r. w Langres, niewielkiej mieścinie obecnego depertamentu Haute Marne, we wschodniej Francji. Był synem skromnego szlifierza noży i powszechnie naówczas przyjętym wśród mieszczaństwa zwyczajem, pierwsze nauki pobierał u Jezuitów. Ukończywszy szkoły, chciał początkowo poświęcić się stanowi duchownemu, ale wkrótce porzuciwszy ten zamiar, jedzie do Paryża, gdzie nawiązuje rychło stosunki z najwybitniejszymi pisarzami owej epoki i oddaje się pracy literackiej.

Ożeniony w r. 1743 z ubogą dziewczyną, a nie mogąc już liczyć na pomoc rodziny, która zerwała z nim wszelkie stosunki, Diderot widzi się zmuszony wszelkimi możliwymi sposobami zarabiać na życie. Wrodzona przedsiębiorczość i ruchliwość przychodzi mu z pomocą. Żyje nędznie. nieregularnie, z dnia na dzień, ale udaje mu się jednak wyżywić siebie i rodzinę. Jako wytrawny, nieporównany *causeur*, bywa przyjmowany w modnych salonach, gdzie w lot umie pochwycić temat każdej rozmowy, wszystkich zdolny zagłuszyć i przegadać. Daje lekcje języków, historji, matematyki, muzyki, wszystkiego, jednem słowem, czego uczyć można; zajmuje się sprawami wydawniczemi.

W r. 1745 zostało mu powierzone przez Akademję kierownictwo Encyklopedji. Dziełu temu poświęcił pełne dwadzieścia pięć lat życia. W tym samym czasie ukazują się pierwsze jego prace. Po opublikowaniu traktatu p. t. *Lettre sur les aveugles à l'usage de ceux qui voient*, Diderot w r. 1749 zostaje uwięziony, na krótki czas zresztą, za szerzenie przekonań antyreligijnych.

Tymczasem obok wytężonej pracy umysłowej, ustawicznie trawiony żądzą życia i użycia, Diderot nie umie zdobyć sobie niezależności materjalnej. W rodzinie panuje prawie nędza. Zarabia sporo, ale pieniądze topnieją w jego ręku. Nadomiar złego, nawiązuje stosunek ze znaną naówczas damą wolnych obyczajów. M-me de Puisieux, która przez lat dziesięć sączy zeń grosz po groszu i wyzyskuje go moralnie. Dopiero tkliwa przyjaźń z Sophie Volland zdołała wyrwać go ostatecznie z tej matni.

Diderot, typowy plebejusz, bywalec najwytworniejszych salonów paryskich, który nigdy nie umiał zdobyć zewnętrznego poloru *dobrego tonu*, szczycił się przyjaźnią głów koronowanych. Rok spędził w Petersburgu, u Katarzyny II, która kupiła jego bibljotekę, pozostawiwszy mu dożywotni nad nią dozór, z pensją bibljotekarza.

Gdy później wracał do Paryża, zapraszał go Fryderyk Wielki, aby czas jakiś spędził u niego w Berlinie. Diderot, snadź syt już dworskich przepychów, wolał pojechać przez Hollandję.

Umarł w Paryżu w r. 1784.

Dominującą cechą u Diderota jest wszechstronność. Wszechstronność, pozwalająca mu być kolejno myślicielem, politykiem, filologiem, przyrodnikiem i artystą. Przy inteligencji niepospolitej, nosi w sobie gminną ciekawość ludu. Bujna jego natura nie zna spoczynku: zapalony teista, po przeczytaniu Bayle'a i sensualistów angielskich zmienia przekonania; później, pod wpływem Leibniza staje się ateistą i materjalistą. Chwilami, jednem zdaniem, o lat kilkadziesiąt wyprzedza swą epokę: przeczuwa teorję ewolucji w naturze, chce wprowadzać reformy do sztuki dramatycznej. Styl jego pęcznieje nieraz jakimś nieznanym jeszcze liryzmem romantycznym, jakgdyby zwiastując blizkie przyjście Chateaubriand'a i Musseta. A kiedy pisze o formach rządu i ustroju społecznym, zdawać-by się mogło, że przeczuwa już na horyzoncie krwawą łunę Rowolucji.

Encyplopedja jest w dziele Diderota przypadkiem, pracą do której zaprzągł się, jak koń roboczy, aby zdobyć sobie stanowisko. Ale prawdziwego Diderota należy szukać w jego traktatach i rozprawach w *Jacques le Fataliste*, w jego listach prywatnych, a zwłaszcza w owym nieporównanym djalogu filozoficznym, słusznie uchodzącym za arcydzieło naszego autora, a któremu na imię: *Le neveu de Rameau*.

Powiedziano o Diderocie, że był pierwszym dziennikarzem *avant la lettre*. Był istotnie dziennikarzem pod tym względem, że wszystko służyło mu za pretekst do twórczości, że stawał się *echem* każdej myśli i każdego dzieła. Ale jednocześnie, dzięki niepospolitej bystrości umysłu, umiał być prawdziwym twórcą i koryfeuszem współczesnych. I na tem właśnie, że lepiej niż ktokolwiek inny zdołał uchwycić ducha swej epoki polega główna jego zasługa.

Zdzisław Milner.

GIUSEPPE VERDI.

(W setną rocznicę urodzin).

Dnia 30 stycznia 1901 roku olbrzymi tłum wyczekiwał pod kościołem San Francesco di Paolo w Medjolanie. W tłumie nie brakło nikogo. „Byli wielcy i mali, wszyscy rzucili swe dzienne zajęcia, każdy wspinał się poza ramieniem drugiego, by tylko zobaczyć: ...co takiego? Żadnej świetności! Żadnych kwiatów! Karawan drugiej klasy, poprzedzony dwiema świecami i kilkoma z duchownych. Cisza... Lecz na tym rydwanie leżały zwłoki całego narodu. Dusza w popiele, serce nabrzmiałe boleścią, oczy we łzach..."

Takie wspomnie rzucił Włoch, L. Corrado, we wrześniowym zeszycie *„Rivista d'Italia"* o Verdim.

Dwie rocznice w bieżącym roku: Wagnera i Verdiego — dwie antytezy!

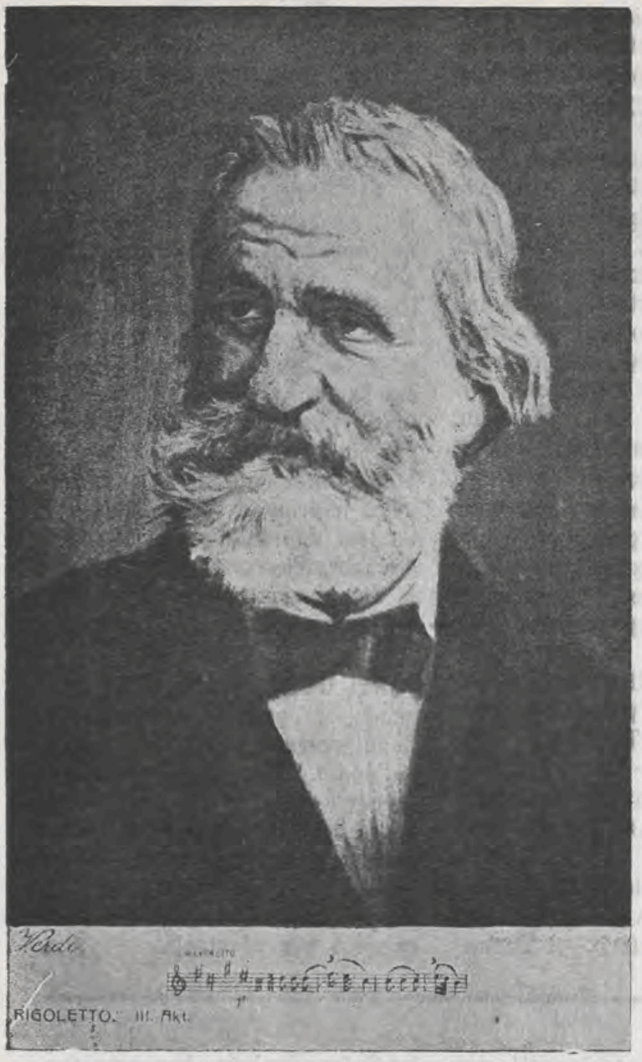
„Il Maestro e morto!" — tak płakał naród włoski w 1901 roku.

Kim kył ten „Maestro"?

Giuseppe Fortunato Francesco Verdi, urodzony 9-go a właściwie 10 października wedle poprawniejszych biografów 1813 roku, w Roncole, pod miasteczkiem Busseto, w księstwie Parmy, pochodził ze skromnej rodziny. Ojciec był wiejskim kramarzem. W czasie ówczesnych wojen napoleońskich, podczas przemarszu wojsk koalicyjnych, byłby mały Verdi zginął, gdyby nie matka, która wraz z nim schowała się w kościele. Od dzieciństwa objawiał talent muzyczny, więc na darowanym przez ojca spineciku początków muzyki uczył małego Beppa — organista Baistracchi. Jako jedenastoletni też chłopiec obejmuje po swym nauczycielu miejsce organisty w kościółku o 3 mile od domu oddalonym. Następnie dzięki poparciu kupca z Busseto oraz organisty Provesiego, dostaje się do Medjolanu, gdzie go jednak dyrektor Basili przy egzaminie „pali". Biedny egzaminatorze!..

Uczy się więc tam prywatnie u „maestro al cembalo" (V. Lavigna), któremu też zawdzięcza dużo wiedzy kontrapunktycznej oraz poczucia artystycznego. Z okazji ślubu hr. Borromea komponuje weselną kantatę, a mimo otrzymanej propozycji napisania opery wraca do Busseto, gdzie od 1835 — 1838 r. pełni urząd organisty po zmarłym Provesim, znienawidzony przez klerykałów *„jako modernista!"*

Następnie już wraz z żoną jedzie do Medjolanu, gdzie 17 listopada 1839 roku w teatrze „Scala" wystawia pierwszą operę: *„Oberto, conte di San Bonifazio"*. Na ogół wiedzie mu



się źle. Nie znajduje szczęścia ani w kompozycjach, ani pożyciu domowem. Traci żonę i dwoje dzieci, a smutek odbija się na jego ówczesnej twórczości, tem więcej, że mu impresarjo Mezelli poddaje tekst do napisania opery — komicznej! W tym nawet czasie Verdi nosi się z myślą porzucenia kompozycji na zawsze.

Jednakże pracuje dalej i w r. 1842 dzięki melodyjnej operze „*Nabucco*“ zyskuje powodzenie. Następuje okres gorączkowej twórczości operowej Verdiego, a nieznane u nas dzieła noszą miano: „Lo stifellio“, „Il finto Stanislao“, „I due Foscari“, „Giovanna d'Arco“, „Luisa Miller“ (wedle Schillera), „Il corsaro“, „Battaglia di Legnano“, która święci tryumf narodowej idei, „Ernani“ (wedle V. Hugo), „Alzira“, „Attila“, „I mastanieri“, „Mackbet“, „Lombardi“.

W tych wszystkich operach jest jeszcze naiwnym naśladowcą oper dawnej maniery włoskiej, w guście Rossiniego, Belliniego, Spontiniego, Donizettiego i t. d.

Około roku 1850 tworzy Verdi do dziś dnia najbardziej znane opery t. j.: „*Rigoletto*“, „*Il Trovatore*“, „*Traviata*“. Treść czerpie z V. Hugo i Dumasa. I temi właśnie operami, które pod względem instrumentacji niemal uchodzą za barbarzyństwo, zyskuje europejską sławę.

Następnie już „wielka sława“ pisze *na — zamówienia!* W r. 1855 komponuje „Les vêpres siciliennes“ z okazji wszechświatowej wystawy w Paryżu, „Un ballo in maschera“ dla Rzymu, „Simon Boccanegra“ dla Wenecji, następnie sentymentalną operę „La forsa del destino“ dla Petersburga, „Don Carlosa“ dla Wielkiej Opery paryskiej oraz w roku 1870 na uczczenie uroczystości otwarcia kanału sueskiego w Egipcie „Aidę“, za co otrzymuje od Kediva 80.000 mk. W dwa lata póżniej „il grande Maestro“ zostaje senatorem — i kończy swą twórczość operami: „Otello“ oraz „Falstaff“, którego ostatnia fuga brzmi dziwną frazą na temat: „*wszystko to żart na ziemi...*“

Owdowiały po raz drugi, umiera 27 stycznia 1901 roku, zapisując majątek na fundację schroniska dla biednych artystów.

W zakresie dzieł religijnych oprócz: „Ave Maria“, „Laudi alla Vergine“, „Stabat“ oraz „Te Deum“, wsławił się słynną kompozycją, napisaną w rocznicę śmierci poety Manzoniego „*Requiem*“, w której 61 rok starczego życia nie ustępuje jeszcze zupełnie młodzieńczemu temperamentowi.

* * *

Verdi, to sława operowa XIX wieku.

Słynny Hanslick, który nienawidził muzyki wagnerowskiej, nazywa jednak Verdiego, tego mistrza „bel canto“ tylko — „urodzonym teatralnym komponistą“. Istotnie, do miana wielkiego artysty Verdiemu daleko! Kompozycje jego są proste, naiwne, niekiedy nawet rubaszne, lecz — melodyjne. Porywa go łatwość śpiewu i głosu, kontrapunktu nie zgłębia. Jego t. zw. wagnerowski zwrot w Aidzie był raczej tylko rozszerzeniem jego niezwykłego talentu muzycznego, aniżeli — naśladownictwem apostoła z Beureuthu. Nie harmonję, lecz zawsze tylko *śpiew* uważał za szkielet opery i dlatego jest antytezą Wagnera.

Mimo powszechnego poklasku i mimo europejskiej popularyzacji oper Verdiego — my, jako nie — Włosi, *przeważnie nie rozumiemy i nie czujemy serca jego muzyki.*

Verdi — to Chopin, a raczej Moniuszko narodu włoskiego. Tam go zna każdy, każde dziecko, każdy murarz, czy robotnik, na ulicach Wenecji, czy też Medjolanu, śpiewa — Verdiego!

„*La notta patriottica c'e in tutta l'opera verdiana!*“ — powiada Włoch każdy. Liczne librettowe aluzje jego oper głęboko wzruszeni słuchacze przerywali zwykle entuzjastycznymi okrzykami: „*Viva Verdi!*“ „*Viva l'Italia!*“ a nawet aplaudując króla Wiktora Emanuela, Włosi z jego imieniem łączyli okrzyk: „*Viva Verdi!*“ I nie chcemy bynajmniej wielkości Verdiego kwalifikować — metrem, jak to niektórzy nawet bardzo uczeni muzycy robią, nazywając go „największym ze współczesnych„ wobec Wagnera, a zarazem „dwa razy większym od Mayerbeera...“ (autentyczne, patrz „Przegląd Polski“, zesz. sierpn. 1913 r.), bo nie sądzimy, by stosowanie *krawieckiej metody* było na miejscu odnośnie do oceny talentów i sztuki, lecz wspominając imię Verdiego, musimy zawsze uznać, iż — *był i jest wielkim melodystą.*

Dr. Wiktor Strusiński.

TEATR

Teatr Mały. „Pragnę swobody", komedja w 3 aktach, E. Lennoxa.

Swoboda! Tym wyrazem Zuzanna Trevor uśpiła swój rozsądek, swą kobiecą wyrozumiałość i nerwom pozwoliła się rozszaleć, nieumotywowanym zachciankom fantazji. Zuzanna Trevor uświadamia sobie bez powodu, że ulegając „tyrańskiej" woli męża, staje się niewolnicą, że dobrowolnie daje się więzić w złotej klatce małżeństwa. Aż zapragnęła swobody! Swobody, za wszelką cenę, zawsze i wszędzie!

Swoboda Zuzanny Trevort zasadza się:

1) Na absolutnej wolności w wyborze swych rozrywek;

2) Na dobieraniu sobie towarzystwa, według własnego upodobania;

3) Na noszeniu tych kapeluszy, które się jej podobają;

i na wielu jeszcze, mniej lub więcej ważnych rzeczach.

Dla osiągnięcia powyżej wymienionych postulatów swobody, Zuzanna postanawia rozwieść się ze swym mężem. Byle tylko zrzucić z siebie przeklęte jarzmo małżeńskich ograniczeń! Do takiego rozwodu konieczna jest zgoda strony drugiej, t. j. męża. I odrazu już, w pierwszym akcie, przeszkoda ta przestaje istnieć. Zuzanna umyślnie wywołuje awanturę i Charly, jej mąż, nagle zupełnie głośno, przy świadkach wyraża gwałtowną chęć rozwodu. Pluszowa kurtyna Teatru Małego zapuszcza się. Antrakt.

Podczas przerwy zbiorowy mózg widzów pomyślał sobie, że taka Zuzanna postępuje zgoła lekkomyślnie, opuszczając Charly'ego, który przecież jest, mimo wszystko, dobry, piękny i młody. A publiczność ma zawsze rację w przeciwieństwie do krytyków. Tę samą rację podzielił autor — który, jak wiadomo, zawsze ma coś wspólnego z widownią, ze szkodą swej sceniczności.

— Zuzanna nie powinna opuścić swego męża—brzmiała opinja krzeseł i galerji.—I Zuzanna go nie opuści — dokończył autor.

Tak. Zuzanna nie chce, widocznie rozstawać się z mężem, mimo rozpoczętego już procesu rozwodowego.

Akt drugi ostatecznie upewnia, że histerycznie rozwichrzone usposobienie marnotrawnej żony — wynika — z miłości. A Charly godny jest kochania—to trzeba mu przyznać. Zuzanna zaś zdążyła już zakosztować goryczy samotnych dni, nabrać wstrętu do pustych gachów, osaczających ją na każdym kroku, ją, której nikt nie może obronić, gdyż naprawdę niema nikogo— bo jest zupełnie sama. Swoboda zaczyna dusić, swoboda staje się niemożliwa do zniesienia. Uwidocznia ten fakt odsłona druga.

Akt trzeci. Przynosi ze sobą zgodę i ogólne zadowolenie. Żona wraca w progi mężowskiego domu. Wprawdzie pragnęła rzeczy świętej — swobody — ale wybaczcie jej! Biedaczka — kochała. Zakochaną „biedaczką" była panna Herburtówna. Do swobody rwała się prosto, naturalnie i bez afektacji. *J. A.*

Kamil Saint-Saëns.

W ubiegły piątek koncertował w wielkiej sali Filharmonji jeden z najwybitniejszych i najpopularniejszych muzyków współczesnych, Kamil Saint-Saëns. Sędziwy kompozytor wystąpił jako dyrygient i pianista. Na program składały się kompozycje własne i kilka utworów Chopina. Orkiestra powitała artystę przez powstanie a wdzięczna publiczność każdy numer programu gorąco oklaskiwała. Kamil Saint-Saëns, urodzony w r. 1835 w Paryżu, jest uczniem dwuch mistrzów francuskich: Gounoda i Halévy'ego, twórców „Fausta" i „Żydówki". Nie należy on do owych wielkich geniuszów, których twórczość wywoływała nową erę w historji muzyki, ale mocą swego wielkiego talentu zdobył sobie dużą popularność i sławę. Do najwięcej znanych kompozycji Saint-Saënsa należą koncerty fortepianowe, opera „Samson i Dalila", której treść oparta jest na tle biblijnem, a przedewszystkiem poemat symfoniczny p. t. „Danse macabre" (Taniec szkieletów) dyrygowany przez kompozytora nad program na piątkowym koncercie. *B. P.*



Kamil Saint-Saëns.

SPROSTOWANIE.

Do noweli Xawerego Glinki p.t. „Prawdziwa przygoda mojego ducha" drukowanej w №№ 40, 41 i 42 „Złotego Rogu" wkradło się parę błędów drukarskich, które niniejszym prostujemy:

W N-rze 41, strona 21 wiersz 11 od góry, zamiast: z przed lat trzech, powinno być: z przed lat trzystu.

W N-rze 42, strona 22 wiersz 15 od góry (2-ga szpalta) zamiast: radcy, powinno być: rządcy, str. 22, wiersz 3 od dołu (2-ga szpalta) i zamiast: A duch mój ponury powinno być: A duch mój pomny.



Femina

Z LITERATURY KOBIECEJ.

„Utopja". *Savitri.* Nakład I. W. C.

Tytuł wskazuje o zamierzeniach autorki, która rozumiała doskonale, że proces dusz taki właśnie przez jaki przeprowadza swych bohaterów, nie może znaleźć zastosowania w ciasnych, szarych ramach życia codziennego, że zarówno na zbyt górne wzloty jak i gwałtowny upadek obojga, a potem znów na tę pieśń nad pieśniami harmonji wszechludzkiej przeciętnej duszy ludzkiej zdobyć się jest trudno, a jedynie wizja jej zjawić się może na podłożu wyobraźni poety — snującego z własnej swej duszy historję przeobrażeń, męki i zmartwychwstania. Postać kobieca w powieści p. Savitri jest niejako symbolem tęsknoty ludzkiej za tem co białe i piękne, Edmund zaś — to ów świadek pokus ziemskich, ów nieprzeparty pociąg człowieka do życia może brutalnego, lecz nie mniej potężnego w swej żywiołowej mocy i nakazach. Więc i do Utopji wogóle nie należy przykładać miary, jaką posługujemy się zazwyczaj przy ocenianiu „romansów" — bo niezrozumiałą wyda się wówczas Zita-Kobieta, w scenie erotycznej z Arturem, sam zaś opis przyrody miłosnej zejdzie do poziomu pornograficznej sensacji — a byłoby to stanowczo z krzywdą autorki, której szło o zupełnie inny, wręcz przeciwny, efekt. Fabuła powieściowa zajmuje w tej ciekawej książce miejsce drugoplanowe — przykuwają natomiast myśl baczną i uwagę głębsze refleksje życiowo-społeczne, bije z niej siła przekonań śmiałych, niezależnych, bogata fantazja uskrzydlona tęsknotą do doskonałości, tęsknotę za pierwotną czystością człowieka, który nie zna fałszu i obłudy nowoczesnej kultury. Kwestję t. z. „robotniczą" rozstrzyga p. Sawitri z naiwnością marzyciela, lecz z wiarą w konieczność jej rozwiązania, godną głębszego myśliciela, nie ograniczającego swych koncepcji do szeregu martwych i suchych paragrafów.

Poetka-artystka bierze rekord nad publicystką posługuje się językiem jasnym a wykwintnym, nie sili się na styl zawiły, tak modny obecnie— z prostotą szczerej poezji łączy ją mistycznym ślubem z obserwacją życiową, nierzadko bardzo trafną.

K. Łozińska.

Z JESIENNYCH PIEŚNI.

Osnuła mi się dusza w te mgły jesienne szare
I wichrem rozełkała w zagasłe patrząc zorze,
Jak smutku widmo, tak wlokę po ugorze
W jesiennej pieśni mej duszy cichą marę.

I nie wiem, co smutniejsze, czy niebo to nad [nami,
Którego nie rozjaśni ni jedna chmurka złota,
Czy paląca w piersi duszy mej tęsknota,
Przepojona pieśnią a karmiona łzami,

Czy wichru pieśń żałobna dzwoniąca w szyby [deszczem,
Co na grobach tuli zwiędłe kwiaty białe,
I otwiera skrzydła lotem rozszalałe,
Aby strącić liść zeschły pod mogilnym dresz- [czem.

Zofja Celińska...

KRONIKA.

Nowa placówka oświatowa.

W bieżącym roku szkolnym powstały „Żeńskie wieczorowe kursy handlowe przygotowawcze Zgromadzenia kupców m. Warszawy" (kancelarja: Prosta 14, wykłady w lokalu gimnazjum Reja, Erywańska 2/4). Opłata w ratach półrocznych wynosi 25 rb. na rok za naukę cztery razy na tydzień wieczorem po dwie godziny.

Kursy te obliczone na dwuletni przeciąg czasu, są przygotowaniem do półtorarocznych wyższych kursów, też przez Zgromadzenie kupców zaprowadzonych, a zapewniających dziewczętom naszym te niezbędne wiadomości teoretyczne, których brak tak silnie odczuwały dotąd we wszystkich zajęciach praktycznych.

Wstępując na pierwszy kurs przygotowawczy kandydatki winny pisać ortograficznie, czytać wyraźnie ze zrozumieniem znaków przestankowych, opowiadać samodzielnie w językach: polskim i rosyjskim. Z arytmetyki obowiązują cztery działania z liczbami całkowitemi i wielorakiemi, ustne i piśmienne rozwiązywanie zadań w tym zakresie, tablica miar i wag krajowych i państwowych, miara czasu.

Wstępujące na drugi kurs muszą umieć dobrze rozbiór zdań logiczny, nie mylić się w znakach pisarskich, przejść podstawę gramatyki w językach polskim i rosyjskim. Z arytmetyki obowiązują ułamki zwyczajne i dziesiętne, system miar metrycznych. Wymagalne są również początki niemieckiego, elementarne wiadomości z dziedziny geografji i przyrody.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że dla podniesienia poziomu umysłowego pracujących w handlu dziewcząt ze sfer niezamożnych nie zrobiono dotychczas nic prawie, gdy szkoły niedzielno-wieczorowe dla chłopców istnieją już oddawna, to zrozumiemy, jak wielką zasługę ma Zgromadzenie kupców, otworzywszy Kursy, od tak dawna upragnione i wyczekiwane.

E. W.

Z DZIEDZINY HYGIENY.

Oddychanie i powietrze.

Oddychanie należy do najważniejszych czynności organizmu, gdyż człowiek ani chwili bez niego pozostać nie może. Za pomocą oddychania przewietrzamy nasze płuca i oczyszczamy krew. Krew ciemna, zużyta przemienia się dzięki tlenowi zawartemu w powietrzu w czerwoną, zdolną znów do odświeżania i odżywiania całego ciała. Ta zamiana krwi ciemnej na czerwoną odbywa się w płucach.

Ważnem jest by powietrze, które służy nam do oddychania było czyste, wolne od przymieszek i zapachów. Dziś wszyscy wiedzą, że pokoje, gdzie przebywamy muszą być kilka razy przynajmniej po półgodziny przewietrzane na dobę.

Powinniśmy tak dbać o powietrze, jak dbamy o dobre i czyste pożywienie; zużywamy go na dobę 10000 kwart, jest to kolosalna ilość w porównaniu do niewielkiej objętości pokarmów spożywanych. Jesteśmy prędzej zjadaczami powietrza nie chleba.

Wszelkie czynności życiowe zanieczyszczają powietrze najbardziej jednakże przyczyniają się do tego lampy naftowe i gazowe; te ostatnie mają jeszcze tą niedogodność, że podnoszą temperaturę pokoju, tam gdzie się pali gaz, musi być dobra wentylacja.

Ilość kwasu węglowego w powietrzu normalnie jest 0,04%, gdy dochodzi do 0,1%, 1% odczuwamy nieprzyjemnie to powiększenie, można dostać zawrotu głowy, stracić przytomność i t.p. Praca umysłowa i fizyczna staje się niemożliwą w powietrzu, gdzie procent kwasu węglowego jest zwiększony. Gdy krew nie może wydzielić kwasu węglowego, w miejscach gdzie stale bywa złe powietrze, biura, fabryki powstają chroniczne zatrucia, wyrażające się bólem głowy, bladością cery, lenistwem umysłowem i fizycznem.

Trzeba zwrócić uwagę na sposób oddychania. Najczęściej zapominamy o oddychaniu, staje się ono płytkie, nie wentylujemy naszych płuc dostatecznie. Musimy od czasu do czasu pogłębić nasz oddech, tak żeby nietylko dolne części płuc ale i wierzchołki brały udział w tym procesie. Ważnem to jest podczas zmęczenia, głębokim wdechem i wydechem oczyścimy prędzej naszą krew, a zatem tkanki od kwasu węglowego, dajemy im potrzebny tlen. Oddychając głęboko podczas zimna, zmniejszamy to uczucie, gdyż na stałą temperaturę naszego ciała wpływa głównie proces chemiczny tworzenia się kwasu węglowego, czyli proces utleniania a podczas głębokiego oddechu wydzielenie takowego bywa większe.

PORADNIK DOMOWY.

Legumina z pomidorów.

Talerzyk deserowy czubaty pomidorów oczyścić z pestek, nalać niepełną szklaneczkę wina, dodawszy szklaneczkę cukru i dusić. Uduszone pomidory przetrzeć przez niezbyt gęste sitko, a oddzielnie utrzeć na misce 4 łuty masła na śmietanę, dodając 3 żółtka, 2 łuty utartych słodkich migdałów i parę gorzkich, $^1/_4$ funta miałkiej utartej bułeczki, marmoladę z pomidorów, a na końcu pianę z białek. Włożyć to wszystko w formę wysmarowaną masłem i wysypaną bułeczką. Piec przez godzinę w dość gorącym piecu i zaraz na stół wydać.

Ocet.

Głównym warunkiem przy urządzaniu marynat, jest prócz cukru, czysty i dobry ocet, od niego bowiem zależy trwałość marynaty, a jeżeli pleśnieje i fermentuje, przyczyny szukać należy tylko w niedobrym occie. Często bardzo dla nadania octowi ostrzejszego smaku dodają różne trujące domieszki, które ze względu na zdrowie są bardzo szkodliwe.

Dla zrobienia analizy z takiego octu, trzeba użyć środków chemicznych, a tych nasze panie mało znają, należy więc radzić sobie w inny sposób, a mianowicie: najpierw zwrócić uwagę na to, aby ocet był czysty jak woda, smaku mocno kwaśnego, lecz przyjemnego i bez żadnego obcego smaku. Nawet w gotowaniu da się ocet wypróbować. Będzie czysty i dobry, gdy zlany jeszcze ciepły w butelki, parę dni w nich postoi i nie zostawi żadnego osadu.

Czysty ocet wydzieli w gotowaniu parę niezbyt mocno kwaśną, gdy przeciwnie w occie fałszywym para mieć będzie zapach ostry, gryzący, który nieraz aż w gardle piecze. Kilka kropli octu zimnego roztartego na dłoni jest także dobrą próbą — najlepszą jednak i najpewniejszą jest zwilżenie ust octem i potrzymanie iah chwilę na powietrzu, aby obeschły. Jeżeli ocet jest czysty—nie pozostawi po sobie żadnego śladu, przeciwnie, ocet fałszywy zostawi smak ostry i palący.

SENSACJA „MODY" W DZIALE BLUZEK.

I tak już zwykle wybujała fantazja mody czyni jednak w kierunku niezwykłych pomysłów i najrozmaitszych ekscentryczności ciągłe i zadziwiające postępy!.. Wogóle moda w sezonie bieżącym jest przebajecznie oryginalna. Owe suknie tak obciśnięte przy kolanach wprost spętanych, szczególniej przy sukniach wieczorowych—ze spiczastemi *na bokach* trenami, owe t. zw. *robes ouvertes* niepomiernie odsłaniające nogi — owe tiuniki krótkie, fałdowane, najczęściej z gazy obszywanej futrem, lub ruszą ze wstążki, owe płaszcze wyglądające z tyłu jak balony... wszystko to, pomijając jeszcze bardzo wiele szczegółów, tworzy całość najdziwaczniejszą, jaka kiedykolwiek znalazła się na kobiecych postaciach. Do tych wszystkich ekscentryczności przybyła jeszcze jedna, na którą wprost rzucono się z entuzjazmem, godnem lepszej sprawy. Są to bluzki przeważnie jedwabne z tak zwanego *satin duchesse* ślicznego jedwabiu, fasonem wolnym z fałdami i marszczkami dookoła figury i rękawami *aeroplan,* na piersiach z lewej strony bluzę taką zdobi obowiązkowo haftowany *napis,* jakaś dewiza, hasło, w rodzaju: *„J'y pense"*, *Je t'aime"*, albo jedno słowo: *„Vouloir"*, *„Lutter"* — t. j. „Myślę o tem", „Kocham Cię", „Chcieć", „Walczyć" i t. d. Prócz tego haftują na specjalnym kwadracie przyszytym do bluzki, jakiś emblemat, białego słonia, mysz, sfinksa, chińskiego bożka i t. p.



Bluzka z haftowanym napisem.

Dziś niema eleganckiej paryżanki, któraby takiej bluzki nie posiadała. Zaznaczamy, że Czytelniczkom moim nie doradzam bynajmniej tego modnego kaprysu — jest to proste zawiadomienie o jednej z licznych modnych fantazji. Bluzka taka nazywa się *tajemniczą „La Mystérieuse"*.

Marcèle.

O FUTRACH I KOSTJUMACH.

Sezon jesienno-zimowy wysuwa na plan najpierwszy w dziale mody *futra* i *kostjumy krawieckie*. Tegoroczna „moda“ zgotowała nam wielką niespodziankę, zmieniając zasadniczo krój wszystkich okryć, czy to futrzanych, czy z innych rozlicznych materjałów oraz przeistaczając fason kostjumów krawieckich. Owe palta wązkie a długie, z obcisłemi rękawami, przestały istnieć dla pań, stosujących się do mody. Obecny krój wyróżnia się bardzo szerokiemi plecami oraz rękawami t. zw. *aeroplan*, tworzącemi jedną z plecami całość, przód okryć jest również bardzo szeroki, u dołu zaokrąglony, spięty na boku, długość przeważnie tak zwana $^3/_4$. Materjały do tego stosowane są najrozliczniejsze. Futra: brajtszwance, karakuły, astrachany, krety i t. p. o włosie krótkim — oczywiście piękne ale drogie. Następnie imitujące futra wspaniałe tkackie wyroby, plusze, wytłaczane aksamity i t. p., nie tanie ale oczywiście przystępniejsze od futer. W kostjumach również zmiany, sukna już nie noszą, zastąpił je t. zw. *velours de laine* gruby a miękki, ślicznie się układający. Fason żakietów także zmodernizowany. Bardzo ładne, bogate, wytworne oraz skromniejsze okazy sezonowej mody w tym dziale, pokazywano uprzejmie w znanym magazynie konfekcji p. *Janiszewskiego*. Wybór wspaniały...



Najmodniejsze okrycie futrzane.

Marcèle.

RUCH KOBIECY.

Kobieta w Chinach i Turcji.

Od czasu zaprowadzenia rządów demokratycznych w Chinach, kobiety zdobyły w większości prowincji prawa równe z mężczyznami.

W okręgu kantońskim 10 kobiet otrzymało mandaty poselskie; wybierane na prawidłowych wyborach, z powagą dzierżą powierzone im stanowiska, wyróżniając się rozumem i znakomitą wymową.

Gdyby nie ostatnie zamęty wojenne na półwyspie bałkańskim, kobieta turecka, w haremach jak niewolnica strzeżona, byłaby również wyzwoloną nareszcie z przesądów stuleci. Równouprawnienie jej prawne i społeczne, było już zadecydowane w zasadzie, popierane silnie przez *„Młodą Turcję“* i ruch rewolucyjny. Reforma ta, tak pożądana, niewątpliwie wkrótce zostanie przeprowadzona a z nią obyczaje miejscowe ulegną radykalnej zmianie.

Marcèle

Odpowiedzi Redakcji.

Zeszpeconej. Rozumiem dobrze jak przykrą musi być dla młodej osoby tak poważna przypadłość cery, jaką są zastarzałe (Okres 3) wągry. Trzeba jak najspieszniej zastosować następującą *radykalną* kurację. Przez 5 do 7 dni—co wieczór nacierać wągry według przepisu *pastą alkaliczną*, spłukać, obetrzeć twarz i natrzeć *płynem Vesta*. Rano nie myć wodą tylko zwilżyć twarz dokładnie *wodą różaną radjowaną* jak wyschnie zapudrować *pudrem Vesta hygienicznym*. Po 5 — 7 dniach, zamienić *pastą alkaliczną*, na *perełki alkaliczne*, przedłużać całą kurację 6 tygodni. Wszystkie te specyfiki są specjalnością *Kalotechniki*, która wysyła je za pocztowem zaliczeniem. Co zaś do starszej siostry pani, zamieszkałej w Warszawie, dotkniętej tą samą dolegliwością a prócz tego owłosieniem górnej wargi, to radzę by się udała do *Kalotechniki*, gdzie przy pomocy elektryczności usuną to wszystko szybko i doskonale. Jest to zakład europejski, poświęcony specjalnie pielęgnowaniu urody.

Siwiejącej blondynce. Do tej pory był to kłopot niemały z ufarbowaniem siwiejących blond włosów bez zmiany ich pierwotnego koloru. Dziś kwestja ta została roztrzygniętą. Pan *Caro Lenveille* chemik paryski, po długich studjach i próbach, skombinował przewspaniałą farbę do włosów zwaną *Eau de Jouvence*, na wszystkie kolory i odcienia. Nie szkodzi włosom, nie brudzi skóry — jednem słowem jest ona sensacją chwili w tym dziale kosmetyki. Przedstawicielem tej farby u nas jest p. Roman Prochowski, fryzjer.

SPROSTOWANIE.

W N-rze 42 „Złotego Rogu“ pod fotografjami pani Larys-Pawińskiej zapomniano umieścić firmę Zakładu fotograficznego *„Tawrell i Malarski“* co niniejszem prostujemy.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJAN ORLICZ.

15)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

Łże on i okpiewa bez kwestji, ale z jakim dowcipem i zręcznością prowadzi ten swój interes. Co za „sui generis” wymowa, jaka spostrzegawczość, jaka śmiałość!

Handel za ladą sklepową to rzemiosło; na trotuarze, jako camelot zwabiać kupujących — to sztuka.

— Wie pan, panie Zdzichu, (pierwszy raz ta familarność) również cudnie, jak pędzlem, maluje pan słowem.

— Jeszcze, jeszcze coś o Paryżu.

— Chętnie, to mój ulubiony temat. A owe piosnki uliczne...

- Czy to o tych chce pan mówić, które słyszałam, przejeżdżając, nie pamiętam jak się nazywa ulica, do „Bon Marché”? Widziałam jakieś koło ludzi, z pośrodka którego wychodził śpiew. To mi się wydało arcyzabawne. Chętniebym była wybiegła z powozu przyjrzeć się temu. To o tych?

— O tych, proszę pani. Piękna jeszcze postawna kobieta, kto wie, przed niedawnym jeszcze czasem może uwielbiana „diva“, mocno już zdartym głosem przy akompaniamencie gitary, a często skrzypiących prawdziwie skrzypiec swego towarzysza, zaśpiewa wesołą, niekiedy rzewną piosenkę. Jej tremolo powtarza zwarty, regularny krąg publiczności, poczem z najmilszym ze swych uśmiechów obchodzi z nutami dookoła, a robotnik, chłopak szewcki, mleczarka, chętnie za dwa susy nabywają śpiewkę, powtarzają ją sobie, nucąc po całej drodze do domu. A ileż to razy rozświetli ona ściany ponurego poddasza, umili bezsenną noc pracy.

A co wie modnisia, klijentka Paquin’a lub Wortha o takiej brudnej, dusznej rue Moufetard, gdzie tuż obok straganów z włoszczyzną, owocami, mięsem, piętrzą się stosy kostjumów, szalów, bluzek, niedoścignionych cudowności spracowanej, mieszkanki tej zatęchłej dzielnicy. To dla owej „femme du monde“ myt, tak jak dla tamtej, mytem są Pola Elizejskie, Lasek, Tuillerje.

Komuś, coby prawdziwie znał Paryż, gdyby opisać miał wszystkie jego właściwości, nie wystarczyłaby prawdziwie wołowa skóra. Chyba, żeby się wziął na sposób Dydony i jak ona dla zdobycia jaknajwiększego terytorjum pod Kartaginę, pociął ową skórę na paski.

Pani zwiedzała dużo?

— Wstyd przyznać, alem nie była ani w „Luxemburgu“ ani w „Cluny“, ani w „Panteonie“. Wszystkiego raz udało mi się wyrwać do Louvre’u, a byłabym wielu rzeczy wyrzekła się chętnie, byle móc go zwiedzać codziennie. Ale cóż? człowiek nie zależał od siebie.

— Dlaczegóż z państwa dwojga, pani nie służyło prawo wyboru?

— Pan wie, że mam słabą wolę.

Na usta mu się rwało „niestety“ ale zdławił ten wykrzyk westchnieniem.

— Właściwie zwiedziłam, a i to zanadto powiedzieć, jedną tylko salę Prymitywów: nie mogłam oderwać się od nich.

— Tak, ci potrafili, jak może nikt dotąd wyczarować na szmat płótna istotę ludzką, każąc jej żyć wiecznie z uśmiechem na ustach lub zmarszczką troski, dawno już wygojonej w grobie.

Hela wybuchnęła wesołym śmiechem.

Spojrzał zdziwiony.

— Czy to ten grób tak panią rozśmieszył?

— Gdzież tam. Tylko w tej chwili zauważyłam, że pan z paletą i pendzlami w ręku i że gawędzimy od godziny, a portret nie tknięty.

Roześmiał się z kolei.

— Prawda, jeszczem nie zaczął. O mnie

prawdziwie możnaby w tej chwili powiedzieć, że szczęśliwi godzin nie liczą.

— Wie pan, com w panu zauważyła?

— No proszę, cóż takiego?

— Otóż to, że się pan ogromnie przejął manierami francuzów.

— Nic dziwnego, proszę pani: cztery lata. Ale skąd ta uwaga?

— No bo francuz, przy każdej okazji gotów powiedzieć jakąś grzeczność.

— Co u jednego manierą, u drugiego może być szczerością.

— Ależ zaczynajmy na Boga.

— Dobrze, zaczynam.

— Pan draperję będzie malował z manekina, prawda? Inaczej, to by się nie skończyło.

— Więc pani tak bardzo pragnie, żeby się skończyło.

Wyminęła odpowiedź, obróciła w żart.

— No przecież wszystko, co ma początek, musi mieć i koniec.

— Sentencja pięk-na, pię-kna, ani słowa; nie powiem jednak, żeby mogła usposobić wesoło...

Jej zrobiło się bardzo smutno, ale usiłowała zamaskować werwą.

— Czy pan dziś będzie malował, bo się zabieram i idę.

— O, co za dynamiczny wybuch energji. Już maluję.

Pracował, milcząc ponuro.

— Wie pan, podjęła, z dawnych towarzyszy dzieciństwa i młodości jeden Fuchs pozostał mi wierny. Pamięta pan jak od dziecka niepospolicie się jego charakter zarysowywał? I dotrzymał. To człowiek z jednej bryły, kompletny. A co za syn poświęcony! Resztę losy poroznosiły po świecie.

Poczęło się ściemniać, nie stało światła do pracy.

Hela wstała, wzięła kapelusz, okrycie i podała Żarskiemu przyjaźnie rękę.

On schylił się i z czcią ją ucałował.

Przez całą drogę czuła żar tego pocałunku.

Chciałaby teraz być gdzieś daleko w lesie, sama jedna, nie słyszeć ludzkiego głosu, tylko rozciągnąć się na murawie, wpleść palce w chłodne zioła i myśleć, myśleć...

Jakiś hymn przeogromny śpiewał jej w duszy. O szczęściu śpiewał, o miłości.

Wyglądała z zajęciem poprzez szyby karety.

Te tłumy, ciągnące Marszałkowską, to jakby radosny korowód orszaku weselnego. Jaki ten świat jednak piękny.

Przyjechała do domu w doskonałym usposobieniu.

Siadła do fortepianu i ulubiona jej „Sonata Pathetique" popłynęła falą tonów.

W salonie obocznym dały się słyszeć kroki Lindnera.

Uczucie litosnego jakiegoś rozrzewnienia wtargnęło jej do duszy.

— Będę odtąd dla niego zawsze pobłażliwa, wyrozumiała.

— Dobry wieczór pani.

— Dobry wieczór, Julku, czy kazać już nakrywać?

— A naturalnie, że kazać. Toś się dziś długo zaromansowała.

— Mógłbyś prawdziwie baroziej się liczyć z określeniami.

— Jeszcze czego z własną żoną cedzić wyrazy.

— Jak tu być dobrą, jak tu być wyrozumiałą, jękneła do żywego dotknięta dusza.

Wstała od fortepianu.

— Dokąd idziesz?

— Kazać nakrywać.

— Ty już chyba nigdy nie nauczysz się być damą, przecież od tego masz dzwonki.

Nie odpowiedziała nic i wyszła do kredensu.

Przez cały obiad siedziała z opuszczoną głową, nie mogąc słowa wykrztusić, nie mogąc przełknąć kęsa.

— Wiesz co ci powiem: ty zaczynasz być niemożliwie nudna. Nie wiem skąd się ludziom, wzięło, że żona dom ożywia. Piękne mi ożywienie.

„Com ja winna" — myślała z bólem — że mnie mój dom przygnębia, przytłacza, że mi od tego człowieka coraz to mroczny cień padnie na duszę, że mi ją zawsze zatruje, skłóci.

Com winna?

XI.

Burza wisi w powietrzu.

Nerwy Żarskiego rozprzęgły się jak rozkręcona sprężyna.

Jękliwe lamenty wiatru wywłóczą z duszy upiory dawno pogrzebionych wspomnień.

Wiatr zawodził w piecach tak samo, jak zawodzi dzisiaj.

W tych odgłosach było jakby wołanie o pomoc, jakby zduszona skarga konającego. A oto naraz buchnie coś niby ryk zwierza rannego, to ozwie się kwilenie niemowlęcia, głodnego piersi matczynej.

Czarna, okrutna, nieskończona noc zimowa.

Wichura łomoce w drzwi i okna, szarpie nimi, jak gość natrętny, co przemocą chce wtargnąć do wnętrza.

Tak dobija się nieszczęście.

Siedzą wszyscy w małej salce.

Nasłuchują...

Ale nieszczęście stąpa cicho.

Tam, w głębi, odchodzi taka kochana, taka kochająca dusza.

Wyrywał się, chciał biedz.

Nie puścili.

Odeszła...

Zagasło na wieki słodkie imię „mamo“. Ból gryzł w serce tak, iż się zdawało, że rana od niego nie zagoi się nigdy.

A potem, coraz się oddalał, stawał się obcy, aż nareszcie przyszło samemu jeść, spać, jak drudzy, wreszcie śmiać się, nawet śpiewać, nawet tańczyć.

Szły lata...

Tamto odsunęło się w dal, w mrok, jak ciężki, zły sen, po którym zwolna otrząsa się dusza, rozprostowują się obolałe członki. Życie przyniosło nowe bóle, mniej być może realne, nie mniej jednak piekące.

Kręcił się po pracowni, jak nieprzytomny, nawet gazety przeczytać nie był w stanie. Przysunął stalugi, nałożył farby, przysposobił pendzle, ustawił w wazonie jej ulubione kwiaty...

Wszystko gotowe, tylko jej nie widać...

A wszak to ostatnie seanse.

Ostatnie seanse.. Jakżeż to będzie bez nich?

Weszły w jego życie, jak konieczna potrzeba światła, powietrza... Seanse... po co się łudzić?

To nie seanse, to ona, jej obecności, zapach jej włosów, ten jej uśmiech promienny..

Ileż razy rwie mu się na usta: ty cudzie! ten zapach jaśminu, to ty, to ciepło, światło, to jeszcze ty! Ty niesiesz ze sobą słońce wiosenne. Pąk twoich ust, to baśń czarowna. Raz na chwilę przywrzeć do nich ustami spragnionemi, a potem... bodaj umrzeć!

Jakżeż silnie wtargnęła na nowo w jego istność!

Mieć ją tu, patrzeć w nią, to cała radość życia.

Co pocznie z sobą, kiedy ten jego dobry duch stąd odejdzie?

Jak żyć bez niej?

Jak się zadowolnić tą etykietalną wizytą w jej domu raz na tydzień?

Zresztą, tam, obok niego, to nie ta Hela jego marzeń... to pani Lindnerowa.

A ona?

Czasami zda mi się widzieć w jej oczach, te dawne, kochane błyski, że tylko porwać i uciec z nią daleko.

Czasem znów, bywa taka sztywna, nienaturalna, taka obca...

Już nic nie pragnie, tylko ją widzieć, tylko tę maleńką, ciepłą rączkę czuć przez chwilę w swojej dłoni.

Dzwonek.

Rzucił się ku drzwiom, nie czekając, aż lokaj otworzy.

Była sama.

— Nareszcie! Już mnie tu gryzły złe myśli: przypuszczałem, że pani już wcale nie przyjdzie.

— Dlaczego? Czym się tak bardzo spóźniła?

— Tak bardzo nie, tylko że czekającemu...

— Przepraszam najmocniej, ale dziś żadną miarą nie mogłam wyrwać się wcześniej.

— Rozumie się samo przez się: obowiązki, mąż, dom.

— Cóż pan tak ironizuje? rzeczywiście dziś trudno mi było.

— Myślałem wreszcie, że może jakaś przeszkoda że strony pana Lindnera.

— Skąd znowu?

— A bo jakoś ostatniemi czasy wydawał mi się mniej chętliwy do tych seansów.

— Cóż za przypuszczenie! E, szkaradny z pana człowiek.

— Założyłbym się, że pani tak nie myśli.

Roześmiała się swoim dziecięcym śmiechem.

— Co za niebotyczna zarozumiałość. Oj, kobiety musiały pana strasznie psuć w tym Paryżu.

— Być może.

— Ciekawość, czy też pan potrafi odróżnić prawdę od fałszu.

— O ile chodzi o kobiety, nie ma znowu co tak bardzo rozróżniać!

— Jak to mam rozumieć?

— Kobiety są wszystkie fałszywe.

Wstała i złożyła komicznie głęboki ukłon.

— Dziękuję w imieniu własnym i innych.

— Dlaczegóż pani to bierze do siebie? Obecni z zasady są wyjątkiem.

— Fu! nie znoszę wytartych komunałów. Mógłby też pan się zdobyć na oryginalniejszy paragraf obrony.

— Możebym i mógł, ale się lękam.

— Lęka się pan? czego? Przecież chyba nie mnie.

— Ciekawość szkodzi urodzie.

— Co to dziś z panem? Jedna za drugą, nowe prawdy. Nie stać pana na nic więcej?

— W danym razie nie... bo...

— Bo co? No niechże pan powie?...

— Bo... nie chcę, nie mogę być sobą.

— Nie może pan być sobą. Co to znaczy? Proszę powiedzieć.

— Niech mnie pani nie przypiera do muru; mógłbym powiedzieć za wiele.

W głosie jego zadrżała nuta trzymanej na wodzy namiętności.

Jej sercem zatargał rozkoszny lęk, przerwała jednak szybko.

— Tracimy czas na gawędce, a światło się zmienia.

Zmrożony cofnął się w głąb siebie.

— Proszę, niech pani raczy zająć swoje miejsce.

Weszła żywo na podjum.

— Widzi pan, jakie ze mnie posłuszne dziecko.

— Widzę. Ale przedewszystkiem precz z niepotrzebnymi dodatkami.

Zbliżył się, żeby wyjąć szpilki z kapelusza. Odchyliła głowę.

Wstała, podeszła do lustra zdjąć kapelusz, odkrycie i przygładzić włosy.

— Byłabym zupełnie zapomniała o zmianie dekoracji.

Nie spuszczał z niej oka.

— Wie pani, nie mogę sobie darować, żem nie zaczął portretu w kapeluszu i okryciu.

— Dlaczego? Czy tak jest źle?

— Przeciwnie, za dobrze.

— Jakto za dobrze?

— Pani za piękna.

— Komplemenciarz.

— Czy pani serjo tak myśli?

— Żeby pan wiedział, jaki pan szkaradny z tą nasrożoną miną.

Machnął ręką.

— O, w rezultacie wszystko mi jedno.

— E, dziś, jak widzę, nie dojdę z panem do ładu. Z dzisiejszego seansu chyba nic nie będzie.

— Ależ przeciwnie. Niech pani siada. Pani wszak w tym jedynie celu przychodzi.

Poczuła się urażoną.

— W jakimże innym mogłabym przychodzić?

— No naturalnie — gorycz zadźwięczała w głosie. — Niechże pani siada.

Długą chwilę trwało milczenie.

— Jaki dziś z pana mruk nieznośny, zniecierpliwiła się. Baw mię pan. Nie chcę mieć na portrecie pogrzebowej miny.

— Nie mam daru bawienia.

— Odkądto?

— Nie wiem odkąd, wiem tylko, że dziś. Proszę nie siedzieć tak sztywno.

— A widzi pan, roześmiała się, takie pozowanie urzędowne, to strasznie nudna rzecz. Seans z pogawędką, a z pana „causeur", jakich mało, przelatuje, że ani się spostrzedz, a dzisiaj...

— Przykrzy się pani — wzruszał ramionami. — Trudno, nie jestem gramofonem.

Drgnęła, niemile dotknięta.

— A przepraszam, niech się pan dla mnie nie przymusza.

Spostrzegł się, jak nietaktownie, jak brutalnie się znalazł.

— To ja panią przepraszam, stokrotnie przepraszam, ale prawdziwie dziś ze mnie jeden kłąb nerwów.

— Więc możeby przerwać seans?

— Chyba po to tylko, żeby mnie ukarać.

— Ale zaco ja miałabym pana karać?

— A więc, proszę siedzieć.

— Co też pan? Przecież siedzę.

Na twarz mu wybiła wielka przykrość.

— Wiem, żem dziś niemożliwy.

— To nic, takie zdenerwowanie zdarza się każdemu z nas—słodki, łagodny uśmiech wyrozumienia rozchylił jej wargi.

— Pani taka dobra, że prawdziwie chwilami...

— O, ja doprawdy nie wiem, czy jestem dobra, czy tylko słabej woli. A takbym pragnęła wiedzieć.

— O, dobra, dobra! wyrwało mu się gorąco. — Proszę się nie zamyślać, głowa zanadto opuszczona.

Podszedł, żeby odchylić głowę.

— Panie Zdzisławie, ręce pana gorące, jak rozpalone żelazo: pan chory.

— Nie, nie, nie jestem chory, tylko ta dzisiejsza pogoda...

— A potem?

— Nic, nic. Niech się pani mną nie zajmuje. Nie mogę, ścierpieć, żeby mi pani okazywała litość, jak biednemu, choremu psu.

— Panie Zdzisławie, pan stanowczo chory. Zostawmy na dziś.

Zaciął się w uporze.

— Nie, nie zostawię. Niech pani na mnie nie zważa.

Wziął się zawzięcie do malowania.

Obserwowała go uważnie: zdawał się mieć gorączkę, a ręka trzymająca paletę. drżała widocznie; od chwili do chwili po twarzy przelatywały mu płomienie.

— Niech mnie pan posłycha, zostawmy na dziś.

Cisnął paletę i pędzle.

— Tak, nie mogę, prawdziwie nie mogę, prawdziwie nie mogę. Czy pani mi pozwoli usiąść obok siebie?

— No pewno, że pozwolę.

Podeszła do kanapki, Żarski siadł obok.

— Czyby się pan jednak nie poradził? Zdaje się, żo pan ma trochę gorączki może to przepracowanie.

— Ależ nie, nic mi nie jest... tylko...— urwał.

(d. c. n.)

H. DE BALZAC.

13)

Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

Bojąc się, aby Ferragus nie usłyszał ich rozmowy, Juljusz rozmyślał nad tem, czy nie lepiej byłoby rozmówić się ze staruszką i dobić z nią targu tutaj. Lecz kura, która gdacząc, wylazła z jakiegoś tajemniczego otworu, wyrwała go z zamyślenia. Powziął postanowienie i udał się z matką Idy do ogrzanego pokoju, gdzie podbiegł doń otyły a niemy mops i obwąchawszy go, wdrapał się na stary taburet. Właściwie, pani Gruget mówiąc o ogrzaniu swego gościa, przechwalała się napróżno, gdyż grzejąca się w garnku zupa całkowicie pokrywała dwie niewielkie płonące głownie i pochłaniała całkowicie wydzielane przez nie ciepło. Z pośród popiołu zwieszała się z kominka warząchew. Dokoła kominka, nad którym wisiał obraz Jezusa w szklannej, zaklejonej niebieskim papierem oprawie, były rozrzucone kawałki materji, kłębki włóczki, spulki i liczne inne przedmioty z dziedziny pasmanterji. Juljusz obejrzał wszystkie meble w pokoju uważnie i z ciekawością, podejrzaną dla bacznego obserwatora; nie potrafił ukryć swego zadowolenia, że oględziny wypadły pomyślnie dla jego planów.

— No i co, proszę łaski pana? Chce pan zająć się moimi meblami? — spytała wdowa, sadowiąc się w żółtym trzcinowym fotelu, który stanowił zapewne jej ulubioną rezydencję.

We wgłębieniu fotela bowiem znajdowało się wszystko, co chciała mieć pod ręką: chustka od nosa, tabakierka, napoczęta robota włóczkowa, napół obrane jarzyny, okulary, kalendarz, napoczęte galony do liberji, talja zatłuszczonych kart oraz dwa tomy romansideł. Fotel ten, w którym staruszka spędzała ostatnie dni swego żywota, był dla niej tem, czem jest dla podróżującej kobiety encyklopedycznie wszechstronny koszyk, w którym znajduje się całe gospodarstwo w miniaturze: poczynając od portretu męża, buteleczki soli trzeźwiących na wypadek omdlenia i pigułek dla dzieci, a kończąc na plastrze angielskim.

Juljusz wszystko to uważnie obejrzał. Z szczególną uwagą przyjrzał się obliczu pani Gruget, jej szarym oczom bez rzęs, bez brwi, bezzębnym jej ustom, zmarszczkom o ciemnych, niemal czarnych barwach, czepkowi z czerwonego, wypłowiałego tiulu, postrzępionym sukniom, rozdeptanym pantoflom, stolikowi zastawionemu talerzami i skrawkami jedwabiu, włóczkową, wełnianą i bawełnianą robotą, wreszcie stojącej wśród tego nieładu butelce wina. Poczem pomyślał:

— Ta kobieta musi mieć jakąś namiętność. Jakąś ukrytą manję.

— Moja pani, — rzekł do niej następnie, czyniąc porozumiewawszy gest ręką, — chciałbym zamówić u pani galony.

Następnie, zniżając głos, dodał:

— Wiadomo mi, że trzyma pani u siebie pewnego osobnika, który przybrał nazwisko Camusota.

Staruszka bystro spojrzała nań, nie zdradzając najlżejszego zdziwienia.

— Niech mi pani powie, czy osobnik ten może słyszeć naszą rozmowę. Zapowiadam z góry, że na usłudze, której zażądam, może pani zrobić mająątek.

— Proszę pana,—odparła, — może pan mówić bez obawy. Niema u mnie w mieszkaniu nikogo. Ale gdyby nawet był ktoś, to także nie mógłby podsłuchać naszej rozmowy.

— Chytra bestja! Umie odpowiadać, jak należy, — pomyślał Juljusz. — Łatwo mi będzie dojść z nią do porozumienia.

— Niech pani nie zadaje sobie fatygi i nie kłamie, — rzekł do niej. — A przedewszystkiem, niech pani wie, że nie chcę zrobić krzywdy ani pani, ani temu lokatorowi, który przypala sobie plecy, ani pani córce Idzie, gorseciarce i kochance tego Ferragusa. Jak pani widzi, wiem o wszystkiem. Ale może pani być spokojna, nie należę do policji i nie zażądam nic takiego, co obrażałoby pani sumienie. Jutro między dziewiątą a dziesiątą przyjdzie tu pewna dama, aby pomówić z kochankiem panny Idy. Chcę, żeby mnie pani umieściła tak, abym mógł wszystko słyszeć, nie będąc widzianym ani słyszanym przez nich. Za przysługę tę dam pani do ręki dwa tysiące franbów jednorazowo, a oprócz tego sześćset franków dożywotniej pensji rocznej. Dziś wieczorem rejent sporządzi wobec pani odpowiedni akt, który doręczę pani jutro, po rozmowie, którą chcę podsłuchać i podczas której przekonam się, że mnie pani nie zawiodła i nie ostrzegła lokatora.

— A czy to nie zaszkodzi mojej córce, proszę kochanego pana?—spytała staruszka, rzucając spojrzenia niespokojnej kotki.

— W niczem, moja pani. Zresztą zdaje mi się, że panna Ida nie bardzo ładnie postępuje sobie z panią. Jako kochanka tak bogatego i potężnego człowieka, powinna posiadać wiele pieniędzy. Mogłaby, gdyby chciała, wypłacać pani jakiś zasiłek, bo wydaje się pani dość ubogą.

— Ach, proszę kochanego pana! Nie da mi nawet nigdy biletu do teatru Ambigu, albo Gaité, dokąd chodzi, kiedy zechce. To coś okropnego! Dziewczyna, dla której sprzedałam srebrne talerze, żeby zapłacić za jej naukę, tak, że teraz muszę jeść z cynowych talerzy, dziewczyna, która dzięki mnie ma fach, w którym zgarniałaby złoto, gdyby była mądra. Bo co do tego, to wrodziła się we mnie... Jest zręczna, jak mało kto; muszę jej oddać sprawiedliwość. Przecież niby jej nie szkodziło oddawać mi stare jedwabne suknie, bo wie, jak lubię nosić jedwab. Ale gdzietam! Łazi po restauracjach, zjada obiady po pięćdziesiąt franków, jeździ powozami, jak jaka księżna, a o matce to ani pomyśli. Oj, już ci młodzi to nam się wcale nie udali. Ani chłopcy, ani dziewczyny. Ani pomyśli o matce i to o takiej dobrej matce, takiej, bo dla niej odejmowała sobie od ust, co zawsze umiała ukryć jej grzechy. Co jej tam! Przyjdzie, powie: „dzień dobry, mamo!“ I już myśli, że spełniła wszystkie obowiązki względem matki, co ją wynosiła w swojem łonie, co ją wychowała! Co jej tam! Ale i ona kiedyś będzie miała dzieci, to się przekona, jaki to kiepski towar, chociaż go tak kochamy.

— Jakto! Córka zupełnie pani nie wspomaga?

— No, proszę pana, zupełnie nic, to byłoby już za mało. Płaci mi za mieszkanie, daje mi drzewa na opał i trzydzieści sześć franków na miesiąc... Ale, proszę ja kochanego pana, czy kobieta w moim wieku, co ma już pięćdziesiąt dwa lata i słabe oczy, powinna jeszcze pracować? Dlaczego nie zamieszka ze mną? Może się wstydzi swojej starej matki? No to niech powie odrazu. Doprawdy, że dla tych podłych dzieci to trzebaby się chyba zakopać pod ziemię. Ledwo są za drzwiami, to już zapominają o rodzicach.

Wyciągnęła z kieszeni chustkę i upuściła na ziemię bilet loteryjny, ale natychmiast podniosła go, mówiąc:

— Patrzcie, państwo, upadł mi kwit na zapłacony podatek.

Widząc bilet loteryjny, Juljusz odrazu odgadł powód wstrzemięźliwości Idy w dostarczaniu matce pieniędzy. Upewniło go to w przekonaniu, że łatwo dobije targu z czcigodną wdową.

— A więc zgadza się pani na to, com zaproponował?

— Kochany pan powiedział, zdaje się, że daje dwa tysiące franków gotówką i sześćset franków dożywocia?

— Widzi pani, zmieniłem zdanie i dam pani tylko trzysta franków dożywocia. Ale za to dam pani pięć tysięcy franków odrazu do ręki. Tak będzie lepiej i dla mnie i dla pani.

— Tak, proszę pana. Wolę dostać więcej odrazu.

— Racja! Odrazu się pani wzbogaci. Będzie pani mogła bywać w teatrze Ambigu, na komedji u Franconiego, wszędzie. I jeździć dorożkami.

— E, Franconiego to ja nie lubię, bo tam nic nie mówią, tylko machają rękami i robią miny. Ale, proszę kochanego pana, zgadzam się tylko przez wzgląd na moje kochane dziecko. Nie będę żyła na jej koszt. Biedaczka. W gruncie rzeczy nie mam do niej żalu, że sobie używa. Proszę kochanego pana, młode, to się musi zabawić. To kiedy nie będzie nikt pokrzywdzony...

— Nikt, — powtórzył Juljusz. — Ale jak pani to urządzi?

— A to tak będzie, proszę kochanego pana. Dam dziś wieczorem panu Ferragusowi taki odwar, że będzie spał jak zabity. Dobrze mu to zrobi, bo się, biedaczysko, ogromnie męczy, że aż mi żal. Ale bo też niech pan sam powie, co to za pomysł, żeby zdrowy człowiek przypa-

łał sobie plecy? A co do naszego interesu, to mam klucz od mieszkania sąsiadki, co ma mieszkanie nademną i która wyjechała na dziesięć dni na wieś. To poproszę ślusarza, żeby zrobił w nocy dziurę w podłodze nad pokojem, gdzie pan Ferragus. I będzie pan mógł wszystko słyszeć i widzieć. Jestem dobrze ze ślusarzem, bardzo uprzejmym człowiekiem, który umie opowiadać bardzo śliczne rzeczy, to mi to zrobi tak, że nikt nie będzie wiedział.

— Oto sto franków dla niego. Niech pani przyjdzie dziś wieczorem do rejenta, pana Desmarets. Ma pani tu adres. O dziewiątej akt na dożywocie będzie gotów, tylko cicho... dyskrecja.

— Niech kochany pan będzie spokojny. *Dyrekcja*, jak pan powiada. Do widzenia kochanemu panu.

Juljusz wrócił do domu niemal uspokojony pewnością, którą posiadł; pewnością, że nazajutrz dowie się całej prawdy. U odźwiernego znalazł list Ferragusa, zapieczętowany tak dobrze, że sam djabeł nie domyśliłby się, że pieczątka została przed kilku godzinami złamana.

— Jakże się czujesz? — zapytał żony, pomimo chłodu, który zapanował między nimi.

O, jakże trudno jest sercu wyrzec się swych nawyknień.

— Nieźle, mój kochany, — odparła zalotnym głosem. — Każ podać obiad tutaj, to spożyjemy go razem.

— Bardzo chętnie, — odparł, podając list. — Nasz, Fouguereau wręczył mi to dla ciebie.

Klementyna dotąd bardzo blada, nagle zaczerwieniła się, ujrzawszy list. I rumieniec jej sprawił mężowi dotkliwy ból.

Ale opanował się.

— Oho, zarumieniłaś się, — rzekł żartobliwie. — Z radości, czy ze wzruszenia?

— Ach, z wielu, bardzo wielu powodów, — odparła, przyglądając się pieczątce.

— Przepraszam cię na chwilkę.

I udał się do gabinetu, gdzie napisał do brata list, zawierający dyspozycje w kwestji dożywocia dla pani Gruget. Gdy wrócił do sypialni, znalazł już obiad podany na stoliku, obok łóżka Klementyny. Tuż stała pokojówka Józefina.

— Ach, z jakąż przyjemnością usługiwałabym ci do stołu sama, gdybym mogła utrzymać się na nogach, — rzekła Klementyna, gdy Józefina zostawiła ich samych. — Nawet na kolanach, — dodała, gładząc białą ręką włosy Juljusza. — Kochane, szlachetne serce! Jak dobry, jak delikatny byłeś względem mnie przed chwilą. Zaufaniem, z jakiem oddałeś mi ten list, zrobiłeś więcej dla mego zdrowia, niżby mogli zrobić wszyscy lekarze świata swemi receptami. Twoja iście kobieca subtelność... bo umiesz kochać, jak kobieta... wlała w mą duszę balsam, który ją ukoił, który mnie niemal uzdrowił... A więc teraz zawieszenie broni. Nachyl twą kochaną głowę, Juljuszu, chcę cię ucałować.

Juljusz nie mógł odmówić sobie przyjemności ucałowania Klementyny. Lecz uczynił to z wyrzutem w sercu: czuł się małym wobec tej kobiety, którą do ostatniej chwili skłonny był uważać za niewinną. Miała ona w sobie jakąś smutną pogodę. Czuła nadzieja świtała na jej twarzy obok śladów przebytych cierpień. Oboje czuli się równie nieszczęśliwymi, że muszą się wzajem okłamywać i jeszcze chwilka, jeszcze jeden uścisk, a byliby sobie wzajem wyznali wszystko, nie mogąc znieść dłużej tego bólu.

— A więc, Klementyno, jutro wieczorem?.

— Nie, kochanie, jutro o dwunastej będziesz wiedział całą prawdę i będziesz na klęczkach przepraszał żonę. O, nie, nie będziesz się upokarzał. Ja i tak już wszystko ci wybaczyłam. Tyś tu nic nie zawinił. Słuchaj: wczoraj zadałeś mi okrutny cios, ale życie moje nie byłoby pełnem bez tego przejścia. To był cień, który pozwoli mi odczuć całą rozkosz oczekujących nas rajskich dni.

— Ach, oczarowałaś mnie! — krzyknął Juljusz. — Mam wyrzuty sumienia.

— Kochanie moje, los jest mocniejszy od nas i nie pyta nas o zdanie... Jutro będę musiała wyjść.

— O której? — spytał Juljusz.

— O wpół do dziesiątej.

— Klementyno, — odparł pan Desmarets, — bądź ostrożna. Poradź się doktora Desplein, czy możesz już wychodzić z samego rana.

— Poradzę się jedynie mego serca i mej odwagi.

— Zostawiam ci pełną swobodę. Zobaczymy się jutro o dwunastej.

— Może dotrzymasz mi towarzystwa dziś wieczorem... Nie jestem już cierpiąca...

Ukończywszy swoje zajęcia, Juljusz udał się do żony, pchany jakąś nieprzezwyciężoną mocą. Namiętność była w nim silniejsza, niż wszelkie cierpienia.

Nazajutrz o dziewiątej rano Juljusz wymknął się z domu, pobiegł na ulicę Czerwonych Dzieci, wszedł na schody i zadzwonił u drzwi mieszkania czcigodnej wdowy.

— Aha, to kochany pan. Kochany pan jest słowny i punktualny, jak słońce. Proszę, niech kochany pan wejdzie, — rzekła staruszka, poznawszy go. — Przygotowałam dla kochanego pana filiżankę kawy ze śmietanką... Doskonała śmietanka; umyślnie przyniosłam garnuszek z mleczarni, która jest na targu... Przy mnie wydoili krowę.

— Dziękuję pani... Nie będę pił... Chodźmy na górę.

— Dobrze, proszę kochanego pana. Chodźmy tędy.

Staruszka zaprowadziła Juljusza do pokoju znajdującego się nad jej mieszkaniem. Z tryumfującą miną pokazała mu otwór szerokości monety dwufrankowej, prześwidrowany w nocy bezpośrednio nad pokojem Ferragusa. A ponieważ otwór znajdował się nawprost wysokiej szafy, przeto Ferragus, pomimo swej niezwykłej przenikliwości nie mógł podejrzewać istnienia tego dziwacznego obserwatorjum. Lecz aby módz skorzystać z otworu, Juljusz musiał umieścić się

w nader niedogodnej i nużącej pozycji, musiał mianowicie zwieszać głowę z drabinki, którą przezornie przyszykowała mu stara wiedźma.

— Ktoś jest u niego, — rzekła ta ostatnia, opuszczając pokój.

Istotnie Juljusz ujrzał przez dziurę człowieka, zajętego opatrywaniem szeregu ran, pochodzących z przypiekań, dokonanych na plecach Ferragusa, którego głowę poznał Desmarets z opisu barona Augusta.

— Jak sądzisz? Kiedy będę zdrów? — pytał Ferragus.

— Nie wiem, — odparł nieznajomy. — Ale lekarze mówią, że trzeba ci jeszcze siedmiu albo ośmiu opatrunków.

— A więc dziś wieczorem, — rzekł na to Ferragus, podając rękę towarzyszowi, który dokończył właśnie opatrunku.

— Dziś wieczorem, — odparł nieznajomy, ściskając serdecznie rękę Ferragusa. — Chciałbym, żeby raz już był koniec z tą historją.

— A więc papiery pana de Funcal zostaną nam doręczone jutro i Bourignard umrze na dobre, — ciągnął dalej Ferragus. — Dwa przeklęte listy, które kosztowały nas tak drogo, nie istnieją już. Nareszcie stanę się członkiem społeczeństwa, człowiekiem, jak wszyscy inni. Sądzę zresztą, że nie zrobię wstydu pamięci marynarza, którego dostały na obiad ryby. Ale, doprawdy, nie dla siebie staję się na stare lata hrabią!

— Mój kochany Gracjanie, dla ciebie, który masz najtęższą głowę z całej naszej bandy, który jesteś naszym wodzem, naszym Benjaminkiem, dla ciebie nie szkoda nam fatygi.

— A więc do zobaczenia... Pilnuj Maulincoura.

— O, nie niepokój się o niego.

— Ej, margrabio! — krzyknął za wychodzącym stary galernik.

Ten wrócił do pokoju.

— Co takiego? — spytał.

— Ida jest po wczorajszej scenie zdolna do wszystkiego. Jeżeli rzuciła się do rzeki, to z pewnością nie wyłowię jej ztamtąd. Będę przynajmniej spokojny, że nie wyjawi jedynego sekretu mojego, który posiada i nie zdradzi mego właściwego nazwiska. Ale swoją drogą pilnuj jej, bo to koniec końców dobra dziewczyna.

— Dobrze.

Nieznajomy wyszedł. Po dziesięciu minutach oczekiwania Juljusz nie bez śmiertelnego dreszczu usłyszał specjalny szelest, właściwy jedwabnym spódnicom i natychmiast poznał kroki swej żony.

— No jakże mój ojcze, mój biedny, kochany ojcze, — pytała Klementyna. — Jakże się czujesz? Doprawdy, podziwiam twoją odwagę.

— Chodź tu, moje dziecko, — odparł Ferragus, wyciągając ku niej rękę.

Klementyna nadstawiła mu czoła, na którem złożył długi pocałunek.

— Co ci to, moje biedactwo? Co za nowe strapienia?...

— Och, mój ojcze, to coś gorszego, niż zwykłe cierpienia albo strapienia. To śmierć twojej biednej, kochanej córki. Pisałam ci już wczoraj, że musisz znaleźć w twojej głowie, tak bogatej w pomysły, jakiś ratunek. Musisz dziś jeszcze zobaczyć się i pomówić z moim mężem... Gdybyś wiedział, jaki on był dobry dla mnie, pomimo podejrzeń, do których miał przecie prawo, że względu na pozory! Ach, mój ojcze, moja miłość to przecie całe moje życie! Czyż pragnąłbyś mojej śmierci? Ogromnie dużo przecierpiałam w ciągu ostatnich dni i czuję, że życie moje znajduje się w niebezpieczeństwie.

— Co, miałbym cię stracić, moja najdroższa córko, — krzyknął Ferragus, — stracić cię wskutek ciekawości jakiegoś przeklętego Paryżanina? Chyba spaliłbym Paryż! Ty wiesz, moje dziecko, co znaczy miłość kochanka, ale nie wiesz, do czego zdolna jest miłość ojcowska.

— Mój ojcze, przerażasz mnie. Nie patrz na mnie tak i nie rzucaj na szale dwu tak różnych uczuć. Miałam męża, nim jeszcze dowiedziałam się, że ojciec mój żyje... (d. c. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU":

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15.	Zmiana adresu — 20 k.	

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.